

PODRÓŻ NAD DUNAJEM I ADRYATYKIEM,

PRZEZ A. PATONA,

Członka Towarzystwa Jeograficznego w Londynie, obecnie konsula w Lubece.

(Z ANGIELSKIEGO).

Cattaro.

W pogodny dzień grudniowy po południu, statek parowy wszedł do Bocca; wszyscy podróżni zebrali się na pokładzie. Na widok zatoki słynnej pięknnością, przypomniałem sobie pełne zapału słowa podróżnika Casotti: „Jakże wspaniałe, mówi on, wodospady Kerka! jak pyszna świątynia w Sebenico! ale nierównie piękniejszy nadto kanał Bocca di Cattaro! Kanał ten przypominał mi włoskie jeziora, utulone w łonie Alp, z różnicą, że wody w nim słone i że połączony z morzem, mógłby pomieścić w sobie wszystkie europejskie floty. Od Castel Nuovo do samego Cattaro, brzegi zatoki pełne są rozrzuconych wiosek i willi; bogate winnice, oliwne i cytrynowe gaje ukazują się w oddaleniu, a po nad zielonym ich pasem wznoszą się urwiste a nagie skały, jakby olbrzymie wieże uwieńczone stromemi wierzchołkami Czarnogóry.

Późna jesień wycisnęła właściwe sobie piętno na okolicznych górach; żółkła barwa lasów mieszała się z ciemną zielonością drzew oliwnych. Na pół drogi do Cattaro kanał ścieśnia się, jak Dunaj u wrót żelaznych, poczem rozszerza znowu, tworząc znacznej objętości za-

tokę. Statek pomykał szybko, a wszyscy podróżni wyszli na pokład, przyglądając się czarodziejskiemu widokowi. Kilkakrotny wystrzał dał się słyszeć od brzegu, a daleka pieśń rozlegała się po wodzie.

Wieczór zapadł, gdy nasz statek zarzucił kotwicę pod Cattaro; góry niewydatnie odbijały na tle nieba, ale okna w mieście, rześmym zajaśniały blaskiem, a światła zapalone w porcie, drżąco odbijały w głębi wody. W przystani panował ruch połączony z wrzawą: podróżni tłumnie wysiadali na brzeg, a strażnicy przetrząsali rzeczy, szukając przemycanych towarów.

Załatwiwszy się, przybyłem do jedyne go hotelu w mieście, który nie odznaczał się czystością, ani wygodą; dostałem przynajmniej pokoik osobny, co się nie każdemu wydarza. Nazajutrz po śniadaniu, jakiś człowiek niepozornej powierzchowności, wszedł i powitał mnie głębokim pokłonem i zapytał, czy to prawda, że m Anglik.

Gdym odpowiedział, że tak jest, pokłonił się jeszcze głębiej.

— To miasto, — rzekł — ma wielkie upodobanie w sztukach; jeżeli panu potrzeba obszerniej sali, mogę mu ją nastręczyć.

— Wielkiej sali, — powtórzyłem zdziwiony — jeżeli myślisz mój panie, że jestem śpiewakiem, lub handlarzem obrazów, w grubym jesteś błędzie.

— Wiem, — odparł, — że nie jesteś pan ani śpiewakiem, ani kupcem obrazów, to niewdzięczne rzemiosło; mówiono mi, że pan pokazujesz czarnoksiężkie sztuki, że połykasz ogień.

Rozśmiałem się serdecznie na te słowa. — Tak — dodałem żartobliwie — jestem czarnoksiężnikiem; porzuciłem Londyn i Paryż, aby zabawić publiczność tutejszą zamiłowaną w sztukach.

— Wybornie, — odrzekł, — jeżeli pan chcesz, mogę mu dopomóc w rozprzedaży biletów.

— Ale powiedzże mi — zagadnąłem, — z kąd wiesz, że ja połykam ogień?

— Domyśliłem się tego odrazu, kiedy sługa mówił mi, że pan pije wrzącą wodę, którą zgotowałeś bez ognia.

Przywołałem służę i po krótkim badaniu pokazało się, że burzące proszki Seydlitza były powodem téj omyłki. Powtórzyłem raz jeszcze doświadczenie. Zdumiona dziewczyna wołała z podziwieniem na pół słowiańską, na pół włoską mową:

— *Gospodine pomelój, bolle senza fuoco!*

Zawstydzony komisyjner poznaawszy błąd swój, począł mnie przeproszać, tytułując mnie excellencyą.

— Ach panie! — zawołał, — Anglia to pierwszy naród w świecie; potem idzie zaraz Albania. Tam tylko żyć i umierać! Każdy robi, co mu się podoba; kto mnie zaczepi, ja mu kulka w łeb i rzecz przepadła, jak kamień w wodzie: nikt się nawet nie dowie o tém. Istnie, jak w Anglii!

Dałem mu odczepnego cwancygera, aby mnie przestał nudzić; gdy odszedł, puściłem się na miasto.

Jedząc obiad z kapitanem okrętu, wypytywałem go o Cattaró.

— Patrz pan, — rzekł, wskazując w głąb filizanki, — oto wierny jego obraz. Wkoło prostopadłe góry, a pod niemi miasto w pośrodku.

Gdym wyszedł z hotelu, przypomniałem sobie to porównanie i uznałem jego słuszność. Miasto porządnie ufortyfikowane, leży nad samą zatoką. Topole wysadzone rzędem w przystani, dorównywają niemal wysokim masztom okrętów. Lud miejscowy, przybrany z turecka, krąży w porcie, przedstawiając dziwnie malowniczy obraz. Przyglądając się zatoce, którą wczoraj przepłynąłem o zmroku, ujrzałem piękne wille zawieszone na stromej pochyłości przylądka, otoczone zielonemi ogrodami. Przeszedłszy wzdłuż i w poprzecz całe miasto, uważałem, że ostatnie jego ulice przyparte są do prostopadłych, otaczających je dokoła.

W samém mieście, miłej doznałem niespodzianki. Będąc tak blisko Czarnogóry, gdzie nie dawno jeszcze, długi szereg głów osadzonych na palach, otaczał stolicę tego niesfornego ludu, byłem pewien, że Cattaro dziką i nieokrzesaną ma postać. Spostrzegłem jednak z podziwieniem, piętno włoskie, wyciśnięte na każdym niemal gmachu. Piękna katedra zbudowana z ciosowego kamienia,

i malownicza baszta z odwiecznym Lwem Weneckim, stoją dotąd mocno, nietknięte ręką czasu i będą stać z jakie lat tysiąc, jeżeli nadzwyczajny kataklizm, nie wstrząśnie tych gór i nie przytłoczy miasta.

W lecie, skutkiem zaciśnienia powietrza, panuje tu upał nieznosny; w zimie zaś chmury, osiadając na górach, sprowadzają nieustanne deszcze. Na dzień przed wyjazdem moim do Czarnogóry, byłem świadkiem strasznej powodzi: nie tylko, że ulewny deszcz padał, ale co więcej strumienie wezbrane w górach, wytryskały przez szczeliny skał, z niesłychanym szumem i hukiem. Mieszkańcy tutejsi nie znają parasolów, ale podczas deszczu obwijają się w gruby wełniany płaszcz z kapturem. Wyszedłem aby się przypatrzeć burzy; dziwny widok stanął mi przed oczyma: z głębi przepaści wytryskał w górę potok i rozlewał się tworząc rzekę dziesięć stóp przynajmniej szeroką. W skutek geologicznych wstrząśnień, góry Wellebi poszarpane na części, podkopane mnóstwem pieczar, przedstawiają najdziwniejsze zjawiska. Jedna z rzek w Kroacji, niknie nagle w głębokiej przepaści, przebiega pod łańcuchem gór wysokich na stóp 400, poczem wpada do Adryatyku.

Cattaro, zwane Dellatera za czasów Konstantyna Porfirogenity, zostawało kolejno pod opieką cesarzów greckich, serbskich i węgierskich monarchów: Wenecya opanovała je w r. 1420, zabezpieczając przywileje municypalne miasta i oddając je pod zarząd generalnego provedidora Zary. Odtąd aż do upadku Rzeczypospolitej, powiewała tu chorągiew św. Marka. Austriacy posiedli Cattaro w r. 1797, ale w r. 1806 po stanowczej bitwie pod Austerlitz i pokoju presburskim oddali je wraz z Dalmacyą cesarstwu francuzkiemu. Niechętném okiem poglądała Rossya na Francuzów, zajmujących port czarnogórski pod bokiem sprzymierzonych z nimi Turków. Floty rosyjskie téż łącznie z Czarnogórcami, stawiały opór nadciągającym Francuzom, postąpiły aż pod Raguzę i spaliły przedmieścia, ale marszałek Marmont na czele 9000 wyćwiczonego żołnierza, pokonał Czarnogórców i Rossyjan w walnej bitwie pod Suttoriną, w pobliżu Cattaro, 1 października 1806 r.; to spowodowało poddanie się innych prowincyj,

a Rosya traktatem w Tylży przyznała Francyi posiadłości po téj stronie Adryatyku.

Od ostatniego zaprowadzenia rządów austryackich, Cattaro z okręgiem tworzy jeden z czterech okręgów dalmackich, najmniejszy co do obszaru i ludności, ale najtrudniejszy do rządzenia z powodu zbliżenia do Czarnogóry. Miasto liczy 4000 mieszkańców, wszyscy wybornymi są żeglarzami, a że za miastem ciągną się tuż skały Czarnogóry, nie mając gdzie rozwinąć przemysłu, zajmują się wyłącznie żegluga i handlem. Cattaro posiada sto pięćdziesiąt własnych okrętów, które wysyła w dalekie strony świata. Za pieniądze zebrane w Brezylji i Antyllach, pobudowano te piękne wille, pozakładano te ogrody, które nadają zatoce Bocca, pozór jeziora włoskiego. Bogactwa tutejszych mieszkańców i ładowne ich skrzynie, nęcą częstokroć chciwość *nocnych band*: Bokeczanie bowiem trzymają w domu brzęczącą monetę, nie ufając papierom angielskiego banku.

Podczas pobytu mego w Cattaro, panowało tu wielkie zamieszanie, z powodu napaści nocnej tych rabusiów. Po dwakroć naszli i złupili domy w Bocca, ale wojsko uwiadomione w porę, dało im silny odpór; nie obyło się jednak bez krwi rozlewu. Ta banda składała się nie z Czarnogórców, lecz z Hercegowian z Grahowa, którzy zwykli dzielić się łupem ze swym agą. Rząd Czarnogóry w nieobecności władzyki, łącznie z rządem austryackim w Cattaro, usiłuje poskramiać te napady; ale kiedy głód doda bodźca rozhukanym hordom, żaden rząd nie jest dość silny, aby mógł sobie radzić w tak dzikich i niedostępnych górach.

Twierdza Cattaro silnie jest ufortyfikowaną; dla tego też Czarnogórcy, mimo wielokrotnych usiłowań, zdobyć jęj nigdy nie mogli. Za obrębem jednakże fortecy, nie raz miały miejsce krwawe starcia: pamiętną jest dotąd bójka, za czasu rządów francuzkich. Było to w r. 1809, kilkunastu Czarnogórców piło w mieście, dwaj żołnierze Włochy, również pijani, weszli do sklepu; jeden z nich żartem pociągnął Czarnogórcza za wasy, co jest najwyższą zniewagą u tego ludu. Czarnogórzec wyciągnął z za pasa pistolet, i strzelił do żołnierza, ale kula chybiła; tymczasem Wło-

chy przybiegłszy w pomoc towarzyszowi, poczęli rąbać pałaszami Czarnogórców. Bójka nie skończyła się na tém: nazajutrz góry po nad Cattaro, pokryły się zbrojnym ludem: Czarnogórcy popsuli wszystkie drogi porobione przez Francuzów. Prerażeni mieszkańcy Cattaro, nie śmieli wychylić głowy z miasta: oficerowie jednak francuzcy, chodzili jak dawniej na obiad do letniej gospody za miastem, położonej frontem do drogi, a drugą stroną opartej o ogród. Czarnogórcy poprzysięgłszy zemstę Francuzom, otoczyli dom wkoło, a podczas gdy oficerowie jedli obiad, zastrzelili z pomiędzy nich sześciu. Sprawa ta zakończyła się wreszcie w zgodny sposób, za pośrednictwem arcybiskupa.

Czarnogóra.

Dowiedziawszy się, że Dalmata nazwiskiem Dugald Dalgetty, pełniący urząd przy władcy Czarnogórców, był właśnie w Cattaro, umyśliłem korzystać z powrotu jego do Cetyni i pojechać z nim razem. Tym sposobem, nie tylko że mogłem podróżować bezpiecznie, ale jeszcze zasięgnąć wiele objaśnień pod względem miejscowości. W czasach zwyczajnych, droga między Cattaro a Cetynią nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa; Czarnogórzec siedzi spokojnie w górach jak wilk w legowisku, ale gdy mu głód dokuczy, chwytą wszystko co mu wpadnie pod oko. Sądziłem więc, że lepiej trzymać się towarzystwa.

Stosownie do umowy, udałem się o ósmej z rana, do bazaru Czarnogórców, położonego za bramą miasta. Jest to po prostu dach, wsparty na grubo ociesanych palach, prowadzi do niego ulica wysadzana drzewami. Tam Czarnogórcy wymieniają węgorze z jeziora Senttari, skóry zwierząt i tym podobne surowe produkty, na sól, oliwę i inne przedmioty potrzebne im do życia. Urzędnik czekał na gniadego klaczy, osiodłanej na turecki sposób. Zamiast długiej wschodniej sukni, w jakiej widziałem go wczoraj, miał na sobie karmazynową kurtę podbitą sobolami i pałasz o srebrnej rękojeści, zwieszony przez ramie; orszak uzbrojony był w długie albańskie strzelby, z ozdobnymi kolbami, przybrany w grube kędzierzawe gunie i dziura-

we sandały; długie, rozczochrane włosy spadały im na szyje.

Wjechalśmy na słynną *drabinę*, tak zowią drogę prowadzącą z miasta Cattaro w góry. Nigdy w życiu takiej drogi nie widziałem. Wyobraźmy sobie skałę, wysoką na 4000 stóp i prawie prostopadłą, a na niej drożkę wykutą w gzygzag, zawracającą to w prawo to w lewo, z jakie pięćdziesiąt razy, coraz to wyżej a wyżej. Patrząc z góry na dół, miasto Cattaro z całą zatoką, przedstawiało się w miniaturowych rozmiarach; ludzie wyglądali jak małe czarne plamki, na żółtawém tle przystani, wyłożonej ciosowym kamieniem. Ktokolwiek przebył tę drogę, rozwiązał zagadkę niepodległości Czarnogórców. Poglądając z dołu na góry przeciwległe tonące w chmurach, po drugiej stronie zatoki, czułem nie raz mimowolny dreszcz przerażenia. Ztąd owe urwiste wierzchołki, nie tak ponuro wyglądały, a rozpostarte daleko za nimi modre fale Adryatyku, przekonały mnie na jakiej byłem wysokości.

Moja kudłata klacz nadzwyczaj była leniwa i zawsze zostawała w tyle, skarżyłem się na to przed sąsiadem, który chcąc jęj dodać ognia, uderzył ją strzelbą z całej siły: szczęściem, że ten stanowczy środek okazał się bezskuteczny, inaczej byłbym mógł zlecieć prosto do miasta, droga bowiem szła nad samym brzegiem skały.

Przybywszy bez wypadku na najwyższy szczybel *drabiny*, ujrzałem się już nie w Austrii, ale w ojczyźnie Czarnogórców. Jechaliśmy chwilę jeszcze nagą skałą, na której nie było ani zdziebelka trawy, poczem spuściliśmy się w dolinę żyzną i dobrze uprawną, istną oazę w pośród dzikiej pustyni. W dolinie téj stał prosty khan, zbudowany z drzewa; zatrzymaliśmy się chwilę, aby dać wytchnąć koniom; gospodarz tymczasem częstował nas chlebem, serem i winem: posiliwszy się nieco, ruszyliśmy do *Niegusz*. Jest to niby miasteczko w Czarnogórze; przyznam się jednak, że nigdzie, w najdzikszych nawet stronach Turcyi Europejskiej, nie widziałem tak okropnej nędzy. W ogólności zupełna zachodzi sprzeczność pomiędzy osadą serbską a czarnogóorską. Tu lud przybrany w kudłate gunie, podobne do bułgarskich, w czarne kapuzy, szerokie spodnie i kamasze od kolan do kostek. Zamożniejsi noszą ja-

sne płaszcze w rodzaju tureckich, zwane *strookah*, nadzwyczaj szerokie i długie, szyję i piersi mają obnażone, nogi obuwają w nędzne sandały. Nigdy Czarnogórzec nie wychodzi z domu bez broni; za pasem nosi zawsze pistolety i sztylet, gotów w każdej chwili do boju: każdy z nich jest żołnierzem. Kiedy ochrzcza nowonarodzone dziecko, jeśli to chłopiec, ojciec przykłada mu do ust pistolet i kładzie go przy nim do kołyski, a zebrana drużyna, pijąc za przyszlą pomyślność dziecka powtarza: „bodajbys nie umarł w twojem łóżku.” Kobiety noszą suknie z brudnobiałego sukna, krojem podobne do serbskich, ale nierównie nędzniejsze.

Podczas kiedy urzędnik władzy załatwiał interesa, obszedłem wieś należącą do rodu Petrowiczów, od którego władyka pochodzi; dom ich zbudowany w stylu europejskim, tworząc dziwną sprzeczność, z rozrzuconemi wkoło, nędznemi chatami Czarnogórców. Wieś nie leży w środku doliny, ale raczej na pochyłości skalistego wzgórza. Równie jak wieś Druzów, łatwo może być obronna; skupione bowiem dachy dotykają szczelnie do siebie, skała zastępuje miejsce bruku.

Człowiek jakiś łysy, w czarnej czapeczce, wyszedł z jednej chaty i prosił mnie, żebym wstąpił do niego. Nie było w izbie komina, a miejsce drzwi, zastępowało parę niezgrabnie zbitych desek. Ciekawy byłem zobaczyć chatę czarnogórską, ale kłęby dymu i chmury much tak mocno uderzyły mnie przy wnijsciu, że musiałem zatrzymać się chwilę za drzwiami. Wszedłszy omackiem, gdyż dym szczypał mi oczy, krztusiłem się od kaszlu i mrugałem powiekami, co było powodem powszechnego śmiechu; krowy które stały w dalszym ciągu izby, rozdzielone kratą z wici, słysząc ten śmiech, poczęły na gwałt ryczeć. Pies podobniejszy do niedźwiedzia obudził się przy ognisku i czekał z całą siłą. Wreszcie spostrzegłem czworograniasty pień i usiadłem na nim, tracąc pomału urok do patryarchalnych obyczajów Czarnogóry.

Wreszcie gdy dym wyszedł rozwartemi drzwiami, zacząłem rozpatrywać się wkoło siebie. Chata dosyć była obszerna, jedyna jej izba dzieliła się na trzy części: pierwsza część przeznaczona była dla ludzi, druga dla bydła,

ostatnia dla owiec; jedna od drugiej odłączona była krata koszykarskiej roboty, z takimi otworami, że można było podać przez nie skopek lub konewkę.

Wyruszyliśmy wreszcie w dalszą drogę; pozostał nam jeszcze do przebycia jeden stromy wierzchołek; jadąc pod górę, uważałem, że każdy kawałek ziemi ornąj ogrodzony był wkoło i starannie z kamieni oczyszczony; dalej rozpoczął się dziki las, na koniec znikły wszelkie ślady roślinności; droga ciągnęła się nagą skałą i tylko orły odzywając się z gniazd do siebie, przerywały jej nużącą jednostajność. Nagle otworzyła się przed nami niezmierzona przestrzeń: było to jezioro Skutari rozległe na 40 mil ang. długości. Żyzna równina nad jeziorem pokrajana była w szachownicę; każda cząstka innego miała właściciela. U stóp góry leżało miasto Cetynia, otoczone skalistemi basztami sięgającymi pod obłoki.

Górskie powietrze skrzepiło mnie tak na siłach, jak na duchu, po dusznej zwłaszcza atmosferze miasta Cattaro zaciśniętego w parowie. Uczony Violla de Sommiere, który mieszkał przez sześć lat, jako rezydent francuzki w tych stronach, w pamiętniku o Czarnogórze, podał wykaz statystyczny, świadczący o długości życia tutejszego ludu. Wspomina, że w Szczyklicz znał człowieka, który doczekał szóstego pokolenia w rodzie swoim. Starzec sam miał lat 117, syn jego lat 100, wnuk blisko 82, prawnuk 60, syn tegoż 43, wnuk 21, a syn ostatniego rozpoczął rok drugi. Rzecz to zaledwie podobna do prawdy.

O zachodzie słońca przybyliśmy do Cetynii, stolicy Czarnogóry: nie jestto właściwie miasto, ale raczej ufortyfikowany klasztor, zbudowany na pochyłości góry, otoczony ściśniętymi domami. Poniżej na równinie stoi nowy dom rządowy wielkich rozmiarów, zwany w Cattaro pałacem władzy, lub pałacem arcybiskupim. Oberża nowéj także budowy lepsza była, niż się spodziewałem; dano mi na piętrze czysty pokoik urządzonej na europejski sposób z dobrém łóżkiem; na dole był khan dla ludu z okolicy.

Gdy podano obiad, zszedłem na dół i wdałem się w rozmowę z krajowcami; między innemi był chrześcian-

ski kupiec ze Skutari i kilku fabrykantów prochu, Albańczyków osiadłych dla handlu w Czarnogórze. Kupiec ze Skutari wyglądał nader poważnie; obecni mówili o jego wielkich bogactwach, lecz on wypierał się tego, zaręczając, że to złośliwa potwarz. Odwołano się do mnie, pytając, czy w istocie nie wygląda na bogacza. Oświadczyłem, iż postać jego tak poważna, że gdybym był hajdukiem, nie uszedłby rąk moich. Kupiec spojrzał przenikliwie, mierząc mnie od stóp do głowy, jakby chciał zbadać, czy nie jestem hajdukiem przebranym za Anglika.

Świeże powietrze obok ruchu sprawiło, że zasnąłem w mgnieniu oka. Nazajutrz z rana dowódzca, z którym przybyłem, oprowadził mnie po stolicy i poznał z kilkoma osobami. Samego władcy nie było w domu, wyjechał bowiem do Wiednia. Poszliśmy najprzód do starego klasztoru, podobnego kształtem do zamku z wieku XVII. Wznosiła się nad nim wysoka okrągła baszta; wkoło zaś sterczały pale żelazne, na których niedawnemi czasy zatknięte bywały szeregiem liczne tureckie głowy. Ale dążność cywilizacyjna obecnego władcy nie dopuszcza już tak niesłychanego barbarzyństwa.

Weszliśmy do klasztoru, gdzie w pokoju na piętrze zastaliśmy archimandrytę. Jest on drugim po władcy w sprawach duchownych, ale skromna jego odzież nie zapowiada kapłana. W ogólności księży w Czarnogórze nie odznaczają się ubiorem od cywilnych, lecz są równie jak tamci uzbrojeni; spotykałem ich nie raz, nie domyślając się bynajmniej ich stanu. Archimandryta, człowiek miły i skromny, otworzył skrzynię i pokazał nam wspinały aparat kościelny haftowany złotem, przysłany w darze od cesarza rosyjskiego.

Pokój urządzony był z wielką prostotą; główną ozdobę jego stanowiła mała biblioteczka. Narzecze Czarnogórców nie wiele się różni od serbskiego; wcisnęły się do niego niektóre słowa włoskie, tak, jak niemieckie wdarły się do narzecza Słowian nad Sawą, Drawą i Dunajem; ale piśmienny język używany w Belgradzie jest wzorem dla małej liczby Czarnogórców, którzy pisać umieją. Księgi liturgiczne sprowadzają z Rosyi. Na tém samém piętrze jest sala szkolna; uczyło się w niej trzy-

dziestu dwóch krótko wystrzyżonych chłopczyków, czytać, pisać, rachować, a prócz tego geografii i historii; nauczycielem był Słowianin rodem z Węgier.

Archimandryta zaprowadził nas do kościoła i ukazał najprzód leżącą na marach mumią w bogatej szacie duchownej i karmazynowych aksamitnych trzewikach. Były to śmiertelne szczątki władcy Piotra poprzednika i stryja obecnego władcy. Rządził on przez lat pięćdziesiąt trzy, tojest od r. 1777 do 1830, szczepiąc pomiędzy ludem zasady cnoty i pobożności, których sam żywym był przykładem. Po jego śmierci synowiec zmarłego, dzisiejszy władca, mając zaledwie lat ośmnaście, został duchowną głową Czarnogóry. Gdy przez lat siedm zwłoki nie uległy zniszczeniu, synod w Moskwie, uznał Piotra za świętego.

W obrębie murów klasztoru wszystko nosi pierwotną cechę. Jest tam okrągła przestrzeń przeznaczona na młócenie zboża; są barcie pszczolne w wydrążonych pniach starych drzew: słowem wszystko, na co spojrzeć, istnieje tu jeszcze w takim stanie, w jakim było u nas za czasów feudalnych. Jedna z dolnych izb przeznaczona na stajnię władcy; widziałem w niej pięknego wierzchowca białego, rasy arabskiej, którego basza Bośni przysłał mu w darze. W inném miejscu drzwi żelazne prowadziły do składów prochu; gdyby się tam kiedykolwiek ogień dostał, cały klasztor mógłby być wysadzony w powietrze.

Niedaleko ztąd poniżej leży dom rządowy, zbudowany przez obecnego władkę. W sali senatu znalazłem wielki billard. Brat władcy siedział w głębi sali na wygodném krześle safianowém i palił fajkę. Ogromny portret Piotra Wielkiego malowany olejno, mniejszy Kara Jerzego, oraz dwa sztychy Byrona i Napoleona wisiały na ścianie. Nie było żadnego stołu oprócz billardowego, który dzielił salę na dwie połowy. Sądzone właśnie sprawę: człowiek olbrzymiej postawy z pistoletami za pasem, przemawiał za sobą; było, jak mi mówiono, ksiądz, któremu parafianie nie chcieli dawać przynależnego zboża. Prezydent zawyrokował, że przez wzgląd na nieurodzaj, poszkodowany musi być cierpliwym i czekać lepszych

czasów, obliczywszy zaległą należność. Senatorowie siedzieli wkoło sali; każdy z nich był uzbrojony; rozprawa toczyła się nader głośno. W Czarnogórze nie ma praw pisanych, tylko zwyczajowe; przekupstwo tak powszechne w tureckim sądownictwie, wcale tu nie istnieje; często za to szala sprawiedliwości przechyla się na stronę mocniejszego.

Gdy rozsządzono sprawę, poszedłem do sypialni władcy; sprzęty w niej składały się z łóżka urządzonego na włoski sposób, z czarnej safianowej sofy, z gotowalni, i ogromnej skrzyni żelaznej. Na ścianie wisiały rzędem szable i pistolety: jeden z nich w karmazynowym aksamitnym futerale był własnością Kara Jerzego. Nad łóżkiem zawieszony był na wstążce medal; takim to medalem obdarzał władcyka tych, którzy się odznaczyli w wojnie z Turkami. Był na nim wyryty dawny herb Czarnogóry: podwójny orzeł i lew, z napisem: *Viera swoboda za hrabrost*. Gdyśmy wrócili do billardowej sali, podano herbatę z arakiem, zamiast śmietanki, i fajki nałożone tureckim tytuniem: po herbacie rozeszli się wszyscy.

Następnej nocy spadł ogromny śnieg w górach; niepodobna było jechać dalej. Korzystając z przymuszonego spoczynku, zabrałem się do odczytania kilku dzieł o Czarnogórze, chcąc się tém lepiej obeznać z miejscowością i z historią tutejszego ludu (1).

(1) Najlepszą wiadomość o Czarnogórze zasięgać można w dziele Wuka Stefanowicza p. n.: *Historya serbskiego powstania*. Dzieła Ami Boné i Cyprjana Roberta zasługują także na uwagę.

